

Podanie o urlop

JACEK SIERADZKI

Jest gorąca, letnia noc. Na poznańskim rynku wewnątrz pierścienia starych kamienic wyrósł pierścień węższy: szereg ogródków z piwem, plot w plot, ciśnieńko, każdy metr zabudowanego bruku przynosi zarobek. Różne te ogródki, zgrzebne lub bogato zdobione, niektóre ekscentryczne, na przykład taki, w którym cała konstrukcja, z podporami i stropem włącznie, składa się z linii ukośnych. Przebywanie na tym pokładzie po nazbyt wielu kuflach przyprawia pewnie o morską chorobę; może dlatego akurat tu cudem znalazłem wolny stolik. Siedzę, sączę piwo. Gdzieś wokół toczy się uliczny festiwal teatralny. Tu i tam na rynku formuje się krąg widzów: startuje kolejny spektakl. Trzeba iść, przepchać się przez tłum. Ale rozleniwionemu trunksowi i ogródkom ciała nie chce się zwlec z krzeselka.

Spektakle i trupy uliczne pojawiły się na naszym horyzoncie (nie tylko okazjonalnych występów podczas przeglądów teatru otwartego) dopiero w czasie międzynarodowego festiwalu powołanego do życia w Jeleniej Górze. Powołanego w złym czasie – tuż po stanie wojennym, kiedy to mało komu było do zabawy. Ale może właśnie dlatego ta impreza miała szczególnie smak. Alina Obidniak ściagała z Zachodu zapaleńców, kłownów, zbuntowanych artystów, ale i profesjonalów w tej dziedzinie widowisk. Godzili się na wyprawę za żelazną kurtynę na spartańskich warunkach – może z solidarności, może z ciekawości. Z niepokornymi zespołami było trochę pierepalek – na przykład z wyklętym wówczas Teatrem Ósmego Dnia. Ale nie ekscesy polityczne decydowały o niepowtarzalności tamtego przedsięwzięcia.

Alina Obidniak pakowała wtedy zespoły do nysek i autokarów i rozwiozła po całym województwie. Wybranimi miasteczkom urządziła uliczne „karnawały”: dni, w których przez całe popołudnie i wieczór prezentowali się po kolei wszyscy goście. Te miasteczka! Życie zamierało tam po zamknięciu urzędów, co najwyżej zataczało się mozolnie ku obskurnej knajpie, w której daniem firmowym było zwykle danie w mordę. Spod tandetnego tynku wylaniały się na domach stare niemieckie napisy, świadcząc nie tyle o dramatyzmie historii, co o nędzy współczesności niezdolnej nawet do porządnego odmalowania fasad. I oto na tych zdychających ulicach pojawiały się kolor! Jakich kłown szcudlastych z wysokości swoich trzech metrów wielką szczotką mył szyby hamującym na skrzyżowaniu samochodom. Jacyś przebierańcy odgrywali patetyczną scenkę na stacyje, wykorzystując zbieranale miny pasażerów przystającego tu pociągu. Jacyś wariaci odgrywali z emfazą parodię startu w kosmos, a miejscowa straż pożarna z lubością, na dany znak, zlewała artystów przeciwpożarową pianą. Mieszkańcy zapomnianych miasteczek pielgrzymowali za kolejnymi grupami, pomagali, dawali się wciągać w akcję. I uśmiechali się – coraz szerzej, z coraz większą frajdą. A na następny rok odpicowywali swe domy na wizytę przebierańców z takim zapalem, jakby tu miał zjechać biskup.

Ten kolor, ta barwność wbita zniecka w szarzyznę, miała siłę wybuchu. Co z tej siły zostało dziś, gdy koloru nie brak już ulicom i rynkom?

Owszem, na poznańską Małą wtrąnęły wielkie, profesjonalne widowiska plenerowe: efektowne, naszpikowane techniką. Ale nie były to przecież spektakle, które ogląda się przechodząc ulicą. Trzeba się wybrać, znaleźć miejsce, odklaskać – jak w normalnym teatrze, tyle że z gwiazdami zamiast sufitu nad głó-

wą. Natomiast na ulicach, między przechodniami grali kłowni albo dziwacy, na przykład pięciu Australijczyków w garniturach a la Blues Brothers, którzy na specjalnej konstrukcji podwiesili dzwony o różnych dźwiękach: podskakując i ciągnąc za liny w odpowiednim rytmie, wygrywali melodyjki. Albo dziewczyny w kostiumach z plastyku z wbudowanymi samplerami i wzmacniaczami dźwięku: idąc, przetwarzały kroki w dziwaczne techno. Grały też nasze zespoły alternatywne: jak zawsze „seriousne”, szalenie ambitne i przejęte misją.

Poznańscy przechodnie i klienci piwnych ogródków obserwowali tymczasem tych – bardzo rozmaitych przecież – uliczników z jednaką w gruncie rzeczy wagą. Całkowicie letnią – co niekoniecznie wiązało się z porą roku. I nie wynikało z niechęci, lekceważenia. Po prostu było oczywiste, że absolutnie wszystko – i blaha zabawa, i ambitna sztuka – przeğa z rozleniwioną atmosferą, z niespiesznymi pogaduchami przy kuflu, z relaksową nieochotą do wysiłku, z błogim dolce far niente.

Bez sensu byłoby wnosić o to pretenzję. Do kogo zresztą? Coś, co niegdyś było kolorem krzycząco odbijającym się z szarości i przez to stanowiący obiekt pożądania, dziś jest tylko jedną z tysięcy ca barw. Coś, co było smakolikiem dla głodnych, spotyka się z pobłażliwą obojętnością sytych. Nie każda sztuka pasuje do każdego jarmarku.

A poza wszystkim innym, i ci, co uczciwie tworzą mądrą sztukę, i ci, którzy na co dzień obserwują i komentują jej przejawy na scenie, ulicy i gdzie tylko chcieć – w ogóle wszyscy, którym życie nie przecieka bezymyślnie przez palce, mają święte prawo do urlopu. Do oddechu, do wielkiego, rozluźniającego wytchnienia. Do poszukania – choćby na chwilę – milej harmonii z samym sobą. Na przykład w gorącej letniej noc.

Do zobaczenia po wakacjach.